

Chciałem zostać gwiazdą rocka

Paweł Małaczyński urodził się w Szczecinku, dorastał w Białymstoku, z którym wciąż czuje się bardziej związany niż z Warszawą. Mieszka w stolicy z żoną i dwuletnim synkiem

Rz: W wywiadach mówi pan, że aktorstwo było spełnieniem marzeń z dzieciństwa, ale zdawał pan na studia prawnicze. To kim pan w końcu chciał zostać?

Paweł Małaczyński: Aktorem, ale nie miałem odwagi, żeby stanąć przed komisją i ładnie powiedzieć wierszyk albo zaśpiewać piosenkę. Nie brałem udziału w szkolnych akademiach, bo strasznie się wstydziłem publicznych występów. Jednocześnie jako mały chłopiec marzyłem, żeby stać się dzielnym, twardym facetem z pistoletem albo z mieczem w ręku, którego będą podziwiał widzowie. Ale nigdy nie brałem aktorstwa na poważnie. Po maturze nie bardzo wiedziałem, co mam dalej robić, i zdałem na prawo, trochę za namową rodziców. Już po pół roku stwierdziłem, że to nie dla mnie i muszę zacząć robić ze swoim życiem coś sensownego, czyli walczyć o swoje marzenia o aktorstwie. W teatrze zakochałem się dopiero w szkole teatralnej, na II roku, kiedy realizowaliśmy z panią profesor Bożeną Baranowską "Ścisły nadzór" Geneta.

(...)

Nie ma pan przesytu pracą?

- Ostatnio zacząłem się nad tym zastanawiać i postanowiłem, że zrobię sobie po nowym roku krótką przerwę. Mam jednak świadomość, że wcale nie biorę wszystkiego jak leci - role, które przyjmuję, bardzo się od siebie różnią. Ale można oczywiście mieć lekki misz-masz, kiedy przechodzi się z postaci w postać z dnia na dzień...

Co pana pociąga w tym zawodzie?

- Możliwość transformacji. To, że mogę stać się kimś, kim nie byłem albo nigdy nie będę. Być w miejscach, których inaczej bym nie zobaczył. To wielka przygoda. Oczywiście, po skończeniu szkoły nauczyłem się, że jest to także bardzo ciężka praca i trzeba walczyć o siebie. A przede wszystkim trzymać się swoich zasad. Normalności. Równowagę daje mi rodzina. Wychowałem się w zwykłym blokowisku w Białymstoku. Nigdy nie myślałem, że chcę zrobić tzw. karierę. Wierzyłem i wierzę w przeznaczenie, los. Już dużym sukcesem było dla mnie dostanie angażu w warszawskim teatrze. Wiedziałem, że jeśli go dostanę, będzie mi łatwiej realizować marzenia względem telewizji i filmu. Do szkoły teatralnej trafiłem bardzo zielony. Wyobrażałem to sobie identycznie jak pewien znany aktor, który kiedyś o tym opowiadał - że wejdę na scenę, powiem wiersz, będzie czerwony dywan, kwiaty i zdjęcia. A wcale tak nie jest.

A jak jest?

- Ciężko. W tym zawodzie najtrudniejsze jest podejmowanie decyzji, które mogą zadecydować o dalszym być lub nie być. Od początku staram się skrupulatnie wybierać

role, czego nauczył mnie Michał Kwieciński, reżyser "Białej sukienki", w której zadebiutowałem w roli księdza. Zrozumiałem, że tak właśnie chcę pracować. W produkcjach, w których będę całym sercem. Bo jeśli będę coś robił dla pieniędzy - a mogłem - to będę źle się z tym czuł. Unikałem tego. Nie dałbym wówczas z siebie wszystkiego. Udawałbym przed samym sobą, a oszukiwanie samego siebie to chyba najgorsze, co może być.

No tak... mówił pan, że w telenowelach by nie zagrał, ale w "M jak miłość" wystąpił.

- Ten epizod był rozpisany na 10 odcinków i dlatego poszedłem na casting. Poza tym postać Marcina, byłego chłopaka Hanki, podobała mi się też dramaturgicznie.

Deklaruje pan przywiązanie do Białegostoku, ale zamieszkał pan w Warszawie.

- Gdybym miał tam możliwość realizowania się zawodowo - nigdy bym stamtąd nie wyjechał.

Założył pan z kolegami zespół muzyczny Cochise. A teksty, które śpiewacie, są raczej liryczne niż buntownicze, jak Indianin, na którego się powołujecie. Skąd ta nazwa?

- Jesteśmy wielkimi fanami Audioslave, czyli mieszanki chłopaków z Rage Against The Machine i wokalisty Soundgarden Chrisa Cornella. Pierwszy singiel, który wypuścili na rynek, nazywał się "Cochise". Po nim odziedziczyliśmy nazwę zespołu.

Jak pan godzi granie w zespole z aktorstwem?

- Chłopaki mieszkają w Białymstoku i tam odbywają się próby. Jak jest nowy materiał, to dostaję go na mejla. Przyjeżdżam na próby, jak tylko mogę. I gramy.

To jest dla pana alternatywa dla zawodu?

- Wentyl bezpieczeństwa. Zawsze kochałem muzykę i kiedyś chciałem także - jak każdy facet - zostać gwiazdą rocka. A teraz spełniamy z kolegami tamte marzenia.

(...)

Czy był w pańskim życiu punkt zwrotny?

- W życiu prywatnym nie zbudowałem jeszcze tylko domu i nie posadziłem drzewa. W zawodowym istotnym momentem była "Biała sukienka". Jeszcze nie wiedziałem, że wygram casting i dostanę tę rolę. Miałem już za to pewną jedną z głównych ról w nowej telenoweli. Postawiłem wszystko na jedną kartę i zrezygnowałem. Nie wiem, jak by się potoczyło moje życie, gdybym zdecydował inaczej... Tak naprawdę każda rola i produkcja jest takim punktem zwrotnym. Na razie wszystko idzie w dobrym kierunku.

A przeżył pan rozczarowania zawodowe?

- Wiele, jeśli chodzi o ludzi. Ale jeśli idzie o swoje wybory - nie.

Zmienił się pan od czasu debiutu?

- Myślę, że nie. Tyle że jestem bogatszy o pewne doświadczenia.

Cieszy się pan, że w portalu teatralnym w pańskiej rubryce nagrody widnieje tytuł:

"Viva! Najpiękniejsi", zamiast laurów aktorskich?

- To jeszcze dopiszą teraz wyróżnienie od czytelników "Elle", które właśnie dostałem. To miłe nagrody, bo przyznawane przez publiczność. A do kategorii nagród aktorskich - mam nadzieję, że jeszcze trafię.

Dokucza panu popularność?

- Już przeszedłem ten kłopotliwy okres. Nie byłem na niego przygotowany i z początku nadmierne zainteresowanie widzów i mediów przytłoczyło mnie. Różne rzeczy wypisywano na mój temat. Bywało to przykre. Musiałem się przyzwyczaić i obrosnąć w grubą skórę. Co zrobić, ja sobie stawiam poprzeczki, a życie rzuca mi kłody pod nogi.

O czym dziś marzy Paweł Małaszyński?

- Żeby mieć chwilę odpoczynku.

rozmawiała Małgorzata Piwowa

Paweł Małaszyński w tym tygodniu w serialach "Oficerowie" (TVP 2, niedziela, godz. 20.00) i "Magda M." (TVN, niedziela, godz. 16.30 i wtorek, godz. 21.30). Urodził się w Szczecinku, dorastał w Białymstoku, z którym wciąż czuje się bardziej związany niż z Warszawą, w której mieszka z żoną i dwuletnim synkiem. Do szkoły teatralnej dostał się za trzecim razem. Nie były to zmarnowane lata, bo chwilę studiował prawo, ukończył też aktorskie L'art Studio w Krakowie, pracował w biurze paszportowym, był kelnerem. Wrocławską PWST ukończył w 2002 r. Dostał angaż w warszawskim Teatrze Kwadrat, na deskach którego zadebiutował w czerwcu 2003 r. podwójną rolą Trufaldina i Arlekinaw "Śludze dwóch panów" Carla Goldoniego w reż. Waldemara Matuszewskiego. Można go zobaczyć także w sztukach: "Szalone nożyczki", "Wszystko w rodzinie", "Nie teraz kochanie", "Ośle lata". W filmie zadebiutował rolą księdza Damiana w "Białej sukience" Michała Kwiecińskiego. Telewizyjni widzowie znają go przede wszystkim jako okrutnego gangstera Granda z "Oficera" i "Oficerów" oraz pełnego zalet faceta z "Magdy M.". Wystąpił w przedstawieniach Teatru Telewizji "Pamiętnik z powstania warszawskiego" i "Tajny agent". Mówi, że łatwo się wzrusza, płacze, oglądając bajki dla dzieci. Śpiewa i pisze teksty dla założonego z kolegami zespołu Cochise. Opublikował też tomik wierszy "Euforia wrażliwości".

Fragmenty wywiadu z Rzeczpospolitej

